

– Ludzie uważają za naturalne, że muszą podróżować. To dla nich jak oddychanie albo mycie zębów. Dlatego chcą też, żeby tych podróży było jak najwięcej. Zinternalizowali ten przymus – mówi dr Dominik Lewiński z Uniwersytetu Wrocławskiego.

– Podróżuję tak często, jak się da. Odwiedziłem łącznie 45 krajów, na trzech kontynentach. W tym roku łącznie odwiedzę dwadzieścia, w tym dziesięć nowych, więc razem będzie już 55 – mówi Tomek, menadżer produkcji w łódzkiej fabryce. Ma 27 lat i każdy kolejny kraj dopisuje sobie w profilu na Instagramie w postaci jego miniaturowej flagi w opisie. – Dopisujesz je, bo...? – pytam. – To jak z kolekcjonowaniem znaczków – tłumaczy.

Ania ma 28 lat, a Sara 32. Są specjalistkami ds. social mediów i nie liczą, w ilu krajach już były. Kiedyś to robiły, ale uznały, że to nie ma sensu, bo nie chodzi o "odhaczanie", a o przyjemność z bycia w innym, nowym dla nich miejscu. Szacują, że były łącznie do tej pory w 30-50 krajach. Tylko w tym roku Ania odwiedziła Islandię, Koreę, Brazylię, Hiszpanię, Portugalię, Wielką Brytanię, Niemcy i Szwecję. Sara: Singapur, Tajlandię, Rumunię, Włochy i Belgię.

– Nie liczę także dlatego, że nie jestem pewna, czy liczyć kraj jako odwiedzony, jeśli byłam w nim tylko w jednym mieście – waha się Sara. Tomek ma na to receptę: osobno liczy miasta powyżej 100 tys. mieszkańców, które uzna za "zwiedzone" (zwiedzenie trwa, zależnie od miasta, od kilku godzin do kilku dni). Zapisuje je sobie w tabelce w Excelu. Do tej pory zwiedził ich 106.

– Podróż to sens mojego życia – mówią, gdy pytam, po co to robią. – To coś, co mnie napędza do działania, daje ochotę, żeby chodzić do pracy, wstawać z łóżka – mówi Sara. Ania i Tomek zwracają uwagę na aspekt robienia rzeczy "po raz pierwszy". – Bardzo lubię coś nowego zobaczyć, zjeść, doświadczyć – wylicza Ania. Tomek: – Trochę jak dziecko w wózku podziwiające park, w którym nigdy wcześniej nie było. Dla dorosłego złapanie tego poziomu zadziwienia jest trudniejsze, ale osiągalne.

Dr Dominik Lewiński, medioznawca i badacz komunikacji społecznej z Uniwersytetu Wrocławskiego, gdy powtarzam mu słowa moich rozmówców, podsumowuje ich opowieści jako "późnokapitalistyczny dyskurs podróżniczo-turystyczny o charakterze kompensacyjno-dystynkcyjnym". – Tak po ludzku to znaczy, że dla nich te podróże stały się miernikiem wartości człowieka. Podróżują, bo nie będą się czuli wartościowi jako ludzie, jeśli nie będą tego robić. I ja to nawet rozumiem, bo ten dyskurs jest dziś w kulturze tak dominujący, że się z tego robi przymus podróżowania. I ludzie uważają to za naturalne, że muszą podróżować. Jak oddychanie, mycie zębów. Dlatego chcą też, żeby tych podróży było jak najwięcej – tłumaczy.

"Nie wyobrażam sobie życia bez podróży"

Czy podróżowanie to przymus? Takiej definicji od moich rozmówców nie słyszę, pada jednak hasło: "uzależnienie". – Nie wyobrażam sobie życia bez podróży. W czasie pandemii ich brak mocno siadł mi na psychikę – mówi Iga (31 l.), pracowniczka korporacji. Na swoim podróżniczym koncie ma "większą część

Europy" i m.in. Iran, Azerbejdżan, Dominikanę. Sporo jeździ też po Polsce. W Warszawie ciężko jej usiedzieć. "Nosi ją".

Podobnych stanów doświadcza Tomek, którego w pandemii tak męczył bezruch, że w desperacji umówił się z kolegą na wycieczkę do... Inowrocławia, bo to akurat miasto leżało w pół drogi między nimi. Po pandemii odreaгуuje dalekimi kierunkami. Ania, jeśli nie jest akurat gdzieś daleko, jeździ po Polsce, np. na festiwale filmowe, ale i po Warszawie, w której mieszka. – Wszystko śledzę. Jak jest jakaś nowa wystawa, jakiś event, to zaraz tam idę. Nie ma wystawy czasowej, której bym nie widziała – tłumaczy. W podróży niekoniecznie jednak musi zwiedzać. Bardziej interesuje ją np. lokalna kuchnia.

– Chodzi o to, żeby pożyć trochę życiem danego miasta. Pójść na rynek, zobaczyć co tam znajduje. Może to złudne, ale lubię sobie wyobrazić, że tam mieszkam. Ocenic, czy by mi się to podobało... – mówi Sara. W tych słowach podsumowuje to, co słyszę też od pozostałych moich rozmówców, poszukujących w swoich podróżach "autentycznego doświadczenia danego miejsca".

Czy te poszukiwania się udają? Z tym bywa różnie. Pytanie też, co jest dziś "autentyczne". Sara od kilkunastu lat mieszka w Paryżu, gdzie codziennością są tłumy turystów i stragany z gadżetami z wieżą Eiffla na każdym kroku. Trochę śmieszy ją, że niezależnie od pory roku i outfitu turyści noszą berety, żeby czuć się "parysko", od razu ich po tym rozpoznaje. Iga przez kilka lat mieszkała na Malcie. Tłumy turystów w lecie sprawiały, że nieraz, wracając z pracy, musiała po 2-3 godziny czekać na autobus, bo po kilka z rzędu było zbyt zatłoczonych turystami, by mogła się w nich zmieścić i nawet się nie zatrzymywały. Ania mieszkała na studiach w Wenecji, jednym z najbardziej zdegradowanych przez turystów miast w Europie. Szczególny sprzeciw miejscowych budziły wtedy statki wycieczkowe o wysokości 15-piętrowych bloków. Przeptywając przez Wenecję, przytłaczały swoim ogromem całe miasto, zacięniały pokoje w mieszkaniach. Problemem był też wszechobecny wynajem krótkoterminowy, przez który (podobnie jak w Paryżu) poszybowały ceny mieszkań, powodując exodus stałych mieszkańców.

Niezależnie od tych doświadczeń, w swoich podróżach Ania i Sara same często nocują na Airbnb i ustawiają się w kolejkach do obleganych tłumnie atrakcji. Co do Airbnb, Sara podkreśla, że nie robiłaby tego tak często, gdyby inne miasta poszły w ślady Paryża i wprowadziły ograniczenia takiego najmu. A atrakcje, do których kłębi się tłum chętnych? Dziewczyny zapewniają, że czasem trzeba swoje w kolejce odstać, machnąć ręką na kłębiące się wokół wycieczki. – Są takie rzeczy, które po prostu trzeba zobaczyć na własne oczy. Na zdjęciu to nie to samo – kwituje Ania.

Życie bez podróży? "Nudne i mało wartościowe"

Dr Dominik Lewiński od kilku lat pyta grupę ok. 1000 studentów o ich podejście do podróżowania i ludzi, którzy nie podróżują. – Na drugie pytanie odpowiedź jest zawsze jednoznaczna: życie człowieka, który nie podróżuje jest "nudne, monotonne, mało wartościowe". Zmieniają się za to wymarzone kierunki podróży, na coraz bardziej egzotyczne. Dziesięć lat temu to było Maroko czy Hiszpania, dziś już Nowa Zelandia, Australia, Patagonia – wylicza.

Zapytani, studenci mówią często, że ich marzenie to "zobaczyć wszystko", być "wszędzie". – Wpadamy w obłęd tego kolekcjonowania, obsesyjnego zbierania doświadczeń. To szaleństwo osiągnęło głębokość, na której leży Titanic, biorąc pod uwagę łódź Titan, i wysokość Mount Everest, jeśli wspomnieć o kolejkach, w których umierają wspinacze, czekając na wejście na szczyt. Do tego nas zmusza społeczeństwo, jeśli chcemy czuć się ludźmi wewnętrze spełnionymi, ciekawymi – ocenia dr Lewiński.

W kontrze do podróżowania na drugi koniec świata mój rozmówca stawia własny sposób spędzania urlopu: w domu, z tomikiem wierszy, w których się zaczytuje. – Zawsze tak było? – dopytuję. Nie zawsze. Przełom nastąpił ponad 20 lat temu, kiedy to dr Lewiński znalazł się w Barcelonie pod kościołem Sagrada Familia Gaudiego i poczuł że... nie czuje zachwyty, choć "powinien". – Pomyślałem wtedy, że to jest szalone, że na urlopach wszyscy zmieniamy się w antropologów, znawców sztuki i architektury, choć na co dzień nie zdradzamy takich zainteresowań. Skąd się to bierze? To pytanie mną wstrząsnęło, zacząłem nad tym myśleć. I wymyśliłem, bazując przy tym na fachowej literaturze, w której wymyślono to już wcześniej. A wtedy już mi się podróżowania odechciało – opowiada.

Teoria, jaką przedstawia mi dr Lewiński, przypisuje podróżowaniu trzy funkcje. Pierwsza z nich to "szlachectwo", czyli nobilitacja, jakiej ma nadać podróżowanie osobie podróżującej w oczach innych ludzi i jej własnych. – To szlachectwo może być "turystyczne", w wersji all inclusive, autokarem, ale to jest taka turystyczna pornografia. Może być też "podróżnicze": skrócić w boczną uliczkę i zobaczyć to, czego pospolici turyści nie zobaczą, to już turystyczna erotyka. Przy czym, jak powiedział Pierre Bourdieu (francuski socjolog, antropolog i filozof – red.), różnica między erotyką i pornografią to tylko kwestia klasowa. Ta boczna uliczka to dalej nie jest poznanie tego miejsca tylko pseudopoznanie. Żeby naprawdę je poznać, potrzebowalibyśmy warsztatu antropologicznego, który zdobywa się na studiach – ocenia dr Lewiński. (Przyznaje przy tym, że za wygłaszanie takich tez został przez swoich studentów znienawidzony i od pewnego czasu unika już wracania do tego tematu na zajęciach).

Druga funkcja podróżowania, o której opowiada mi ekspert, polega na zastąpieniu nim życia religijnego. Podróże jako "opium dla mas" uzasadniają wyrzeczenia i "codzienny zapieprz" np. w korporacji. – Kiedyś robotnicy dawali się wyzyskiwać w nadziei na nagrodę po śmierci. Teraz nie wierzymy już w życie wieczne i chcemy dostąpić zbawienia za życia. Są nim dla nas wakacje, "raj na ziemi" – argumentuje. Trzecia funkcja to "karnawalizacja", w której podróż jest współczesnym karnawalem, czyli odwróceniem ról. W podróży ktoś, kto na co dzień pracuje jako pracownik najemny w korporacji, często wykonując graeberowską "pracę bez sensu", staje się panem, któremu się służy.

– A więc podróże są bez sensu? Nie powinniśmy tyle podróżować? – dopytuję. Dr Lewiński odpowiada mi jednak, że w ogóle się nie dziwi ludziom, którzy podróżują, i jest daleki od ich potępiania, bo "trochę nie mają wyjścia". Choć światu lepiej zrobiłoby, gdyby podróżowano mniej. Choćby pod kątem śladu węglowego. Gdy pytam o to ostatnie osoby, które w minionym roku kilkanaście razy leciały samolotem, słyszę kilka argumentów. Sara przekonuje, że lata tak często, bo pociągi są w Europie droższe od samolotów. Przykład: z Paryża do Nicei za pociąg trzeba zapłacić 120 euro więcej niż za samolot, do tego dochodzi dłuższy czas przejazdu. "Nie stać mnie na bycie eko" – mówi Sara. Iga przekonuje, że za ślad węglowy odpowiedzialne są przede wszystkim wielkie firmy, a nie jednostki. Tomek – że samolot bez niego na pokładzie i tak by poleciał.

Instagram czy rzeczywistość? "Tylko ładne kadry"

Podróże moich rozmówców bywają także nieraz powodem do zazdrości wśród ich znajomych. Sara nie ukrywa, że ci, którzy śledzą jej social media, zwykle są jej zdjęciami oczarowani. Tak było np. z jej relacją z Albanii, do której poleciała z chłopakiem, bo trafili bardzo tanie loty (po 15 euro za lot). Z podróży zapamiętała głównie wychudzone bezpańskie psy i brudne chodniki, ale na zdjęciach na jej Instagramie ich nie widać, tam wszystko wygląda bardzo pięknie. Do tego stopnia, że Sara musiała powstrzymać przed ruszeniem w jej ślady zachwyconych zdjęciami znajomych.

Gdy pytam, czemu nie wrzuciła na Instagram relacji z tego, jak było naprawdę, Sara tłumaczy, że wrzuca tylko ładne kadry, bo jest "estetyką". Ale też dodaje, że rozczarowanie zderzeniem Instagrama z rzeczywistością sama przeżywała już wielokrotnie, dlatego przygotowując się do podróży, przegląda raczej konta ludzi, którzy do swoich relacji podchodzą mniej "estetycznie".

– Czego nauczyły cię podróże? – pytam ją jeszcze. — Na przykład tego, że lokalni ludzie mają inne podejście do życia. Widzę to, chociaż oczywiście nie rozmawiamy, bo nie potrafilibyśmy się dogadać na tak wysokim poziomie, żebym wiedziała, co naprawdę myślą, i z czego ten styl życia wynika – przyznaje. Sara mówi mi jeszcze o swoim największym podróżniczym marzeniu – Korei Północnej. Chciałaby tam pojechać, żeby "zobaczyć jak żyje się w kraju bez bannerów Coca-Coli i McDonalda". – Co prawda płacąc za taką wycieczkę wspierałabym reżim i z punktu widzenia etycznego to mnie trochę boli, ale ciekawość jest silniejsza – kwituje.